

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE.

Nr 19.

Rok 1922. WARSZAWA, 6 Maja

Rok LV

MAURICE MAETERLINCK.

M A T K I.

One poniosły wielką mękę tej wojny.

Na ulicach, na placach, po drogach, kościołach, w miastach i wsiach, w każdym z domów ocieramy się o matki, co straciły synów lub żyją w okrutniejszej jeszcze trwodze niepewności.

Spróbujmy pojąć ich stratę. One wiedzą czem jest, lecz przed ludźmi – milczą.

Zabierają matce syna w najpiękniejszej dobie jego życia, a u jej dni schyłku. Gdy dziecko umiera niemowlęciem, zda się, że dusza jego nie oddała się zbyt i oczekuje – w pobliżu tej, która je na świat wydała – godziny powrotu do niej w nowych kształtach. Śmierć, zaglądająca do kofyski, inna jest niż ta, która obnosi przeżalenie na ziemi. Lecz, kiedy umiera syn dwudziestoletni, nie powróci już i nie pozostawia nadziei. Zabiera z sobą całą przeszłość matki, wszystko, co od niej otrzymał, i wszystko, co byłby jej dał: zmartwienia, niepokoje, uśmiechy niemowlęctwa i dzieciństwa, radość młodości, nagrodę i żniwo lat dojrzałych, pomoc i spokój starości. Zabiera o wiele więcej, niż siebie: nie tylko własne jego życie się kończy, – przychodzi gwałtownie kres niezliczonych dni, wygasa ród całej, tłum twarzyczek i rączek pieszczotliwych; tysiączne echa śmiechów i zabaw – wszystko ginie wraz z nim na polu bitwy, żegnając słońce i wracając do tej ziemi, za ledwie poznaną. Wszystko to – choć niejasno – widzą oczy matek, i w tem przyczyna: czemu w pewnych chwilach nikt nie może znieść ciężaru i smutku ich spojrzeń.

A przecie, one nie płaczą – tak jak matki za poprzednich wojen. Synowie ich giną jeden po drugim, a nie słychać skarg i jęków matek – jak dawniej, gdy wielkie męki, wielkie rzezie i kataklizmy mięszały się z wofaniem o pomstę i lamentem niewieścim.

Nie gromadzą się na placach publicznych, nie użalają się, nie buntują, nikogo nie winią. Dławią w sobie szloch i łzy pod powiekami – jakgdyby posłuszne jakiemuś hasłu, między sobą tylko, bez wiedzy mężczyzn, podawanemu.

Nie wiedzieć – co je podtrzymuje i daje siłę zniesienia reszty żywota. Niektóre mają jeszcze inne dzieci, można pojąć, że przelały na nie miłość i nadzieję, przez śmierć złamane. Wiele jest ta-

kich, co nie zatraciły lub usiłują odnaleźć wiarę w obietnice wieczyste; można także zrozumieć, że te nie rozpaczają, bowiem matki męczenników nie rozpaczają również. Lecz tyle jest innych, których dom nazawsze opustoszał, a horyzont jeno blademi widmy się zaludnia, a jednak i te żywią nadzieję na równi z tamtymi, co ją zawsze miały. Cóż tedy jest, co podtrzymuje męstwo, które podziwiają nasze oczy?

Gdy najlepszy, najłitościwszy, najmędrzy z pośród nas spotka taką matkę, ukradkiem ocierającą łzy, by swą niedolą nie razić szczęśliwych, szuka – wobec oślepiającej prawdy najsroźszej z mąk – szuka słów, co by nie dźwięczały kłamstwem ohydny lub szyderstwem, – lecz prawie nic nie potrafi wyrzec. Będzie mówił o słuszności i wzniosłości sprawy, za którą padł bohater, o ofierze olbrzymiej a koniecznej; o wdzięcznej pamięci ludzkiej; wreszcie, o nicości życia, które mierzyć należy nie według mnogości dni jego, lecz podług wzniosłości zadania i chwafy. Doda, być może, iż zmarli nie umierają, że niema umarłych, że ci, którzy odeszli, żyją bliżsi naszym duszom, niż kiedy mieli cielesne postacie, i że wszystko to, cośmy w nich kochali, trwa w naszych sercach, póki je pamięć odwiedza i ożywia miłość.

Lecz, w miarę jak mówią, czują daremność swych słów. Pojmują, iż to wszystko jest prawdziwe li tylko dla tych, których nie-szczęście nie straciło w otchłań, gdzie słowa są jedynie błahemi dźwiękami, że najgorętsze wspomnienie nie zastąpi drogiej rzeczywistości, którą się dotyka rękami lub usty, że najpodniosłe rozmyślenia mniej są cenne, niż codzienne przyjścia i pożegnania, obecność przy stole, ranny i wieczorny pocałunek, uściski przed rozłąką i upojenia powrotu. Wiedzą o tem one, matki, i czują to lepiej od nas; i dlatego nie odpowiadają na nasze perswazje, słuchają ich w milczeniu, i w sobie samych odnajdują inne argumenty na korzyść życia i nadziei, niż te, które staramy się im przynieść, rozglądając się próżno po całym widnokregu pewników i sądów ludzkich. Podejmują nanowo brzemie swych dni, nie mówiąc, skąd czerpią siły, nie odślanając tajemnicy swej ofiary, rezygnacji i bohaterstwa.

Przełożył GABRYEL KARSKI.

POKÓJ CZY WOJNA.

Gdy numer ten znajdzie się w rękach czytelników „Bluszczu“, pytanie, wyrażone w tytule, będzie może bliższe wyrażnego rozstrzygnięcia.

Już dziś jednak stwierdzić należy, że pytanie to wisi w powietrzu. Pojawiło się ono w chwili, gdy na konferencji Genuńskiej pękła bomba w postaci podpisanego w pierwszy dzień Wielkanocy i opublikowanego nazajutrz traktatu niemiecko-rosyjskiego w Rapallo.

Wielki Tydzień Europy skończył się w ten sposób zmartwychwstaniem nie anioła pokoju, ale widma wojny.

Traktat w Rapallo z 16 kwietnia b. r. ma charakter ścisłego i bardzo życzliwego porozumienia gospodarczego i zapowiada natychmiastowe podjęcie stosunków dyplomatycznych i konsularnych. Składa się z 6 artykułów, z których I-szy postanawia, że obie strony zrzekają się długów wojennych i przedwojennych oraz prawa do wojennych odszkodowań.

Traktat ten wywołał burzę na Konferencji, jako akt podwójnie podstępny i przewrotny: 1) Pod względem formalnym: głównym celem Konferencji Genuńskiej było solidarnym wspólnym wysiłkiem wynaleźć jakieś modus vivendi z sowietami, — tymczasem Niemcy, zakpiwszy sobie z jej współuczestników, cichaczem, z góry, na własną rękę i wedle własnego planu stosunek swój z Bolszewją odrębnie ułożyły. Za to wykroczenie formalne zostały Niemcy wykluczone z komisji politycznej, tj. z dalszych obrad państw pozostałych z Sowietami. Kara logiczna, ale niezbyt dotkliwa, jest bowiem w danych warunkach pozbawieniem przywileju raczej, niż prawa. 2) Pod względem rzeczowym: Niemcy, uznając bez żadnych warunków Sowiety de iure, nawiązując z nimi stosunki gospodarcze na zasadzie wzajemnego zrzeczenia się odszkodowań oraz długów wojennych i przedwojennych, stają przedewszystkiem w sprzeczności z podpisanym przez nich Traktatem Wersalskim, który podkreśla to prawo do odszkodowań niemieckich Rosji i tem samem powstałych z dawnego jej terytorjum państw innych. Następnie przez to wza-

jemne zrzeczenie się pretensji finansowych stwarza Traktat Rapalski pewien precedens, który może być uważany za demonstrację przeciw bardzo poważnym pretensjom Francji tak do Rosji jak do Niemiec, pretensjom, których Francja bez naruszenia najżywniejszych interesów swoich ani zrzec się, ani w znaczniejszej mierze zredukować nie może. To też państwa sprzymierzone zastrzegły sobie prawo nie uznania tych punktów Traktatu niemiecko-rosyjskiego, które okażą się sprzeczne z Traktatem Wersalskim. Realna wartość tego zastrzeżenia jest — wobec rozbieżności zwłaszcza zdań wśród samych sprzymierzonych — narazie problematyczna.

Dla Polski najgroźniejsze jest to, że do jawnego Traktatu gospodarczego w Rapallo dołączono podobno, napewno niemal, tajną konwencję polityczno-militarną. Pisma angielskie pierwsze, a wślad za nimi cała prasa europejska ogłosiła nawet tekst owych klauzul tajnych, które brzmić mają: 1) Niemcy zwrócą Ukrainie sowieckiej w gotówce lub w naturaljach 960 milionów franków, zabranych podczas niemieckiej okupacji, 2) uwolnią 6000 jeńców rosyjskich, 3) rozwiążą organizacje kontrrewolucyjne, istniejące w Niemczech, 4) Niemcy nie dopuszczą do przewożenia przez terytorjum swoje materiałów wojennych, przeznaczonych dla Polski, Rumunii, Estonii i innych państw sukcesyjnych, 5) Rosja upoważni zakłady Kruppa do fabrykowania armat oraz materiału wojennego w rosyjskich hutach żelaznych koło Permu, Ługańska i Tambowa.

Ostatnie dwa punkty brzmią szczególnie groźnie. One to wywołują widmo wojny.

Groźba, jak to w mowie publicznej ostatnio stwierdził prezydent Poincaré, jest skierowana bezpośrednio przeciw Polsce, pośrednio także przeciw Francji.

Niemiecka ambasada w Paryżu zaprzeczyła wprawdzie istnieniu paktu tajnego, ale z zaprzeczeniem tem nikt się nie liczy.

Trudność sytuacji komplikuje niezmiernie chwiejne i zmienne zachowanie się Lloyd Georgea, który z początku był wprawdzie wraz z innymi oburzony do ży-

wego na wielkanocną niespodziankę Rapalską, dziś jednak już się z nią oswoił i w ostatnich przemówieniach wyraża pogląd, iż należy nietylko zwalczać, ile porozumieć się z blokiem niemiecko-rosyjskim, przyczem uważa za stosowne grozić potęgą tego bloku pozostałej Europie. Między innymi, jako na obiekt „nieporozumienia“, wskazuje wyraźnie na linje graniczne państw między morzem Bałtyckim a morzem Czarnym, dając jakgdyby do poznania, że niechybnie miał osobiście przeciw skorygowaniu tych granic dla zaspokojenia „groźnych“ pretensji niemiecko-rosyjskich.

Jeśli takim okazaćby się miało istotnie stanowisko angielskiego premiera, to zaiste niewspółmiernie wysokie nakładanoby na nas koszta za uprzejmości, świadczone tym razem p. Skirmuntowi w Londynie, — i takiego rachunku, rzecz jasna, przyjąłbyśmy nie mogli. Granice nasze, okupione sowicie krwią polską, tak na wschodzie, jak na zachodzie, pozostać muszą niewzruszone.

Jednak staraniem najświetlejszych umysłów Europy musi być w trudnej chwili obecnej wszelkimi godziwymi i możliwymi środkami dążyć do utrzymania pokoju. Pytanie: jak urządzić i zabezpieczyć ten pokój? — wysuwa się na czoło kwestja.

I tu Lloyd George, który sam siebie uważa za głównego rzecznika tej kwestji, myli się, — (a wraz z nim mylą się jego wszyscy zwolennicy) — gdy, zwalczając dążenia Francji i Polski, a sprzyjając Niemcom i Rosji, sądzi, iż przeciwstawia dzieło pokoju dziełu wojny. Faktycznie, przeciwstawia on koncepcję pokojową niemiecką, koncepcji pokojowej francuskiej, a nie może, czy nie chce zdać sobie sprawy, iż ta pierwsza w sposób o wiele bardziej groźny i nieuchronny prowadzi do wojny, niż ta druga.

Tak czy owak, paryski „Rappel“ słusznie z powodu Konferencji Genuńskiej przypomina słowa Victora Hugo:

„Byłoby to może błędem mniemać, że wszystkie te sprawy skończą się pieśnią i apoteozą“.

Irena Pannenkowa.

PREMIUM DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“.

Chcąc uprzywilejować prenumeratorkom naszym możliwość nabywania arcydzieł literatury wszechświatowej, uzyskaliśmy znaczną ilość egzemplarzy znakomitego dzieła Wernera Heidenstama p. t. *Epopeja Rycerska „Carolinerna“* w przekładzie Stanisława Miłaszewskiego. Niezwykle zajmującą i pod względem artystycznym wybitną książkę, która swego czasu otrzymała nagrodę Nobla, możemy sprzedawać prenumeratorkom naszym po 400 mk. — podczas gdy jej cena księgarska wynosi 600 mk. Zamówienia łącznie z przedpłatą przyjmuje administracja „BLUSZCZU“.

OPIEKA SPOŁECZNA NAD DZIECKIEM.

III. Żłobki.

Ze stacji opieki nad niemowlętami dziecko zostaje wypisane w ciągu drugiego roku życia, zależnie od tego, czy umie już chodzić, mówić, z innymi dziećmi się bawić i o ile możliwości zgłaszać się ze swoimi potrzebami. Opieka społeczna nad dalszym rozwojem dziecka z tą chwilą jednak nie może się urwać, gdyż w następnych latach grożą mu jeszcze rozliczne niebezpieczeństwa. Dlatego powinna precyzyjnie być raczej zdwojona, intensywniejsza niż dotychczas dlatego zwłaszcza, że trzeba już zająć się również umysłowym rozwojem dziecka, potrzebującym daleko idącej pomocy.

W tym celu społeczeństwo stworzyło od dawna już zakłady półotwarte, t. zw. żłobki, dokąd matki, chodzące do pracy lub mające wiele zajęć w domu, przynoszą swe dzieci od 1 — 5 lat przed zaczęciem pracy i zabierają je codziennie do domu po skończeniu zajęcia. W ten sposób chroni się dzieci od pozostawania w dusznych izbach na opiece nieletniego rodzeństwa, które niezawsze zdolne jest zapobiec nieszczęściu z ogniem, względnie wypadnięciu z okna, lub bawieniu się na ulicy, gdzie o wypadki ze strony wozów, automobili oraz tramwajów tak łatwo, nadto gorszące rozmowy w zaraniu już mogą paczyć duszę dziecka.

Żłobek ma za zadanie, z jednej strony przyczynić się do jaknajlepszego fizycznego rozwoju dziecka, a z drugiej strony dbać o zdrowe kształtowanie się jego duszy i umysłu.

Nieodzownym warunkiem spełnienia pierwszego zadania jest odpowiednio urządzonego budynku, o ile możliwości umyślnie w tym celu wzniesiony, na wolnej przestrzeni, otoczony ogrodem lub większym placem. Budynek taki powinien zawierać przede wszystkim obszerną sypialnię, w której dzieci na osobnych lub wspólnych łóżeczkach, na leżakach, lub tapczanach mogą spać 1 — 3 godzin w ciągu dnia. Następnie potrzebna jest nieco mniejsza jadalnia, gdyż dzieci muszą w żłobku jeść 3 razy dziennie poza rannym i wieczornym posiłkiem w domu. Do jadalni powinna przylegać niewielka kuchnia z osobnym

wejściem od zewnątrz i chłodną spiżarnią. Ubikacje te mogą się jednak mieścić również w suterynach. Poza to musi być w każdym żłobku duża sala, służąca do nauki i zabawy, lub też dwie oddzielne. W żłobkach o większej ilości dzieci wskazane jest urządzenie osobnych sal dla młodszych i starszych dzieci powyżej 3 lat. W końcu potrzebne są pomieszczenia oddzielne do mycia dzieci, o ile możliwości z wanienkami, oraz klozety, odpowiednio do wieku dzieci urządzone. Wreszcie dla kierowniczkę żłobka, mieszkającej na miejscu, musi być osobny pokój. Nie potrzeba chyba dodawać, że we wszystkich pomieszczeniach powinno być dużo światła, ciepła, ozdób estetycznych, a przedewszystkiem panować musi wzorowa czystość.

Nad normalnym fizycznym rozwojem dziecka czuwa w żłobku lekarz, o ile możliwości obeznany z chorobami dzieci. Zadaniem jego jest dbać o przestrzeganie zasad higieny w żłobku, przepisywać racje żywnościowe i czuwać nad dobrocią artykułów spożywczych, dalej badać zawsze przed przyjęciem i później systematycznie każde dziecko, przepisując mu w razie potrzeby odpowiednie leczenie, zwłaszcza dzieciom gruźlicznym i krzywicznym; prowadzić karty zdrowia dzieci, statystykę ich chorobowości, specjalnie co do chorób zakaźnych i śmiertelności. Jednym z najważniejszych zadań lekarza jest zapobieganie chorobom zakaźnym przez odosabnianie dzieci podejrzanych o zakaźność, aż do chwili stwierdzenia choroby i odesłanie ich do szpitala, — względnie przez wykluczenie ich z żłobka na odpowiedni okres czasu. W końcu powinien lekarz popularyzować zasady higieny wśród rodziców i opiekunów na drodze bądź osobistego stykania się z nimi w przypadkach poszczególnych, przez wygłaszanie pogadanek dla rodziców, bądź też przez rozdawanie broszur.

Wychowywaniem dzieci w żłobku zajmuje się specjalnie w tym celu kształcona wychowawczyni, która z wielkim zamiłowaniem i nadzwyczajnym taktem powinna spełniać swoje zadanie. Po umyciu dzieci i rozdaniu śniadania, w czym wychowawczyni pomaga służąca, uczą się dzieci pacierza, wierszyków, śpiewów oraz najrozmaitszych zabaw i gier odpowiednich do ich wieku. Jeżeli żłobek obejmuje większą ilość dzieci, tworzy się jeden oddział dla starszych i drugi dla młodszych i zajmuje je odpowiednio do ich rozwoju umysłowego. Pomiędzy 12-tą a 1-szą dzieci jedzą obiad; myją się znowu, poczem śpią 2 go-

dziny w dobrze przewietrzonyj sypialni. Pomiędzy 3 a 4 następuje podwieczorek, poczem dzieci się bawią, aż nadejdą matki. Letnią porą dzieci bawią się, śpią, a nawet jedzą na dworze, cały ten czas wychowawczyni czuwa nad dziećmi i kieruje zabawą. Kierowniczkę żłobka prowadzi kancelarię z licznymi księgami przyjęć, statystyczną, kontroli itd., pomaga lekarzowi przy badaniu dzieci, wypełnia jego zarządzenia lecznicze, kąpie dzieci i wreszcie ma nadzór nad gospodarstwem, którym zajmuje się osobna gospodyni, mająca do pomocy służącą.

W ten sposób urządzonych żłobków powstało w Warszawie w latach 1916—18 do 23. Każdym żłobkiem z osobną zajmuje się Rada Okręgu, wyłaniająca ze siebie Koło Opieki Żłobka. W jego skład wchodził z urzędu przewodniczący Rady Okręgu, lub jego zastępca, lekarz i opiekunka, jako najczynniejszy członek Koła. Ona bowiem załatwia najważniejsze sprawy finansowe i gospodarcze żłobka i jest łącznikiem pomiędzy instytucją żłobka a społeczeństwem. Jej również podlega cały personel żłobka, rachunkowość i urzędowa strona.

Żłobki, jako zakłady wychowawcze i dobroczynne, nie mogą naturalnie ostać się same, gdyż matki płacą za utrzymanie dziecka najwyżej $\frac{1}{3}$ kosztów utrzymania. Resztę musi pokrywać społeczeństwo w drodze ofiar publicznych lub też samorząd miejski. Dla ułatwienia organizacji żłobków oraz pomocy społecznej w tym celu stworzono w roku 1916 t. zw. Komisję Ratownia Dzieci, która, oparłszy się na funduszach, zebranych na kwiecie „Ratujcie Dzieci“, starała się w dalszym ciągu o pomoc z zagranicy, od rządu, samorządu i społeczeństwa. W ten sposób finansowała ona wszystkie 23 żłobki warszawskie i pokrewne instytucje przez blisko 5 lat, t. j. do lipca 1921 r.

Po jej zlikwidowaniu żłobki zaczęły upadać, nie mając funduszy na dalsze prowadzenie tych tak potrzebnych zakładów. Aby zapobiec zupełnemu ich zanikowi i w celu wskrzeszenia w miarę sił zlikwidowanych żłobków stworzono przy Towarzystwie Opieki nad Dziećmi t. zw. Gniazdo Żłobków, które organizuje na nowo pomoc społeczną, opartą nie tylko na jednorazowych darach, lecz przede wszystkim na regularnych składkach licznych członków.

Dr. med. Franciszek Ksawery Cieszyński.

PROF. DR. TADEUSZ ZIELIŃSKI.

U PRAŻRÓDEŁ KOMEDJI.

(DOKOŃCZENIE).

Tak, jest to, bądź co bądź, fatum, lecz fatum nicowane, lub, jeśli chcecie, komiczna parodia tragicznego fatum; i jeżeli w braku innego, zatrzymujemy słowo „traf“, to z tem jednak zastrzeżeniem, że ten specjalnie traf odznacza się zupełną konsekwencją fatum, różniąc się odeń o tyle, o ile różni się komedia od tragedji.

Komedja konsekwentnego trafu — oto, jak możnaby nazwać naszych „Menechmów“. Jako tacy stoją oni samotni w repertuarze antycznym. Nie chcemy przez to powiedzieć, aby takich pomieszkań i nieporozumień, jak w „Menechmach“, nie bywało w innych komedjach antycznych — spotykamy je, na-

przykład, w „Amphitronie“ tegoż Plauta, tak świetnie przerobionym przez Moliera. Lecz tam są one jednakże wynikiem pewnej intrygi; tutaj zaś — nie, albo raczej tutaj sama intryga, kierująca akcją skroś labiryntu powikłań i nieporozumień ku pomyslnemu końcowi, wynika z trafu, tej domniemanej przez nas siły metafizycznej, konsekwentnej przypadkowości, czyli inaczej, fatum komicznego.

Tak więc raz jeszcze: „Bliźnięta“, jako komedia konsekwentnego trafu, stoi samotnie w repertuarze antycznym — również samotnie, jak „Król Edyp“ w charakterze tragedji fatum. W zestawieniu tem

niema nic bluźnierczego: różnica między wzniosłą tragedją a baraszkującą komedją, mimo wszystko, pozostanie różnicą. A jednocześnie zestawienie to podaje nam klucz do rozwiązania zagadnienia stosunku człowieka współczesnego wobec jednego i drugiego dramatu. Stosunek ten bywa dwójaki; możemy go określić tak: w teorii — zaprzeczenie, w praktyce — mimowolne poddanie się czarowi świata zaprzeczanego.

W teorii — zaprzeczenie. Europejski współczesny fatum nie uznaje; jeśli jest człowiekiem wierzącym, to istnieje dlań Bóg, który życiem jego rządzi, siła metafizyczna, lecz miłosierna, dostępna modłom

ludzki. Jeśli wiarę postradał, to dla niego życiem rządzą prawa fizyczne, oraz ich krańcowe rozgałęzienia, które my, wskutek niepochwytności ich związku z głównymi konarami, zwiemy trafem. Fatum więc, owo fatum, które zdruzgotało Edypa, dla człowieka współczesnego nie istnieje. A jednak tragedia Edypa działa na nas nieodparcie; najwidoczniej, w warunkach sztuki skłonni bywamy uznać tę siłę, której istnienia zaprzeczamy w życiu.

Taki sam też, jak sądzę, jest nasz stosunek do „Bliźnięt”. Nie godzi się odtrącać ich od siebie uwagą, że na gromadzenie przypadkowości jest zgola nieprawdopodobne. Wszak jesteś proszony, czytelniku, do teatru, zgódźże się więc na czas widowiska, że tam, na wysokościach niebios teatralnych, zasiada potęga władcza, nie groźna wszakże, lecz łaskawa, acz ogromnie wesoła; oto bierze ona w ręce ludzi, którzy w przekonaniu o swej zupełnej samowiedzy, chodzą po deskach sceny i zaczyna bawić się nimi, grać w nich, jak w szachy, mając atoli na widoku własne ich dobro i zamierzając przeto, w nagrodę za wyrządzone im przykrości i niedole komiczne, odpłacić im na końcu ostatecznym, niezamąconem szczęściem.

Czyliż nie stać nas na to? Cóż, w takim razie tem lepiej dla nas, że przynajmniej niegdyś było nas stać na to. Kiedy to było i gwoli czemu — o tem opowie następny mój, końcowy rozdział.

VII

„Bliźnięta”, jak wogóle komedje Plauta, nie przeżyły upadku republiki rzymskiej; w wiekach średnich temci mniej jeszcze mogło być o nich mowy, w okresie atoli Odrodzenia zmartwychwstały też i one.

Zrazu czytano je tylko; niebawem jednak podjęto próby wystawienia ich na scenie. Próby te były rodzaju dwójakiego: odróżniać musimy świetne widowiska dworskie od skromnych przedstawień szkolnych. Na scenie dworskiej „Menaechmi” — lub, jak częściej tę sztukę nazywano — „Menechimi” (początkowo omyłka w pisowni — zamiast *Men(a)echmi*, która zyskała jednak prawo obywatelstwa) ukazywali się na scenie bądź w oryginale, bądź w przekładzie włoskim lub francuskim, przyczem w wystawę sztuki kładziono cały przepych, na jaki zdobyć się mogła owa radosna epoka; czytamy o przedstawieniu w Ferrarze, które zgromadziło do 10.000 widzów. Co prawda, powodzeniu sprzyjała nietylko sama komedja Plauta, jakkolwiek uchodziła za „bardzo wesołą i sprawiającą wiele uciechy” (*molto festevole e piena di diletto*). Z jednej strony aktorzy pozwalali sobie na różnego rodzaju dodatki i napomknienia w związku z chwilą: tak, na przedstawieniu, danem w Rzymie z okazji wesela Lukrecji Borgia z synem Hercola z Ferrary, Menechmus, schwytyany przez czterech niewolników na rozkaz swego teścia, skarżył się, jak mogą podobne gwałty zdarzać się, *sospite Caesare, Jove propitio et votivo Hercula*, (przyczem przez Cezara rozumiało się Cezara Borgia, syna papieża Aleksandra

VI, przez Jowisza, — samego papieża, a przez Herculesa — Hercola z Ferrary; tak, innym razem, Messenio, zapowiadając licytację majątku Menechmusa, na której miała być sprzedana też i żona jego — rekomendował widzom, aby, kto ma żonę równie swarliwą, poszedł za jego przykładem. Z drugiej strony reżyserzy uświetnili komedję wszelkiego rodzaju przepychami, w których podówczas wszyscy tak się lubowali: kiedy w roku 1493 wystawiono „Bliźnięta” w Ferrarze, wstawiono do sztuki aż trzy balety (*moresche*), na zakończenie zaś pokazano na scenie wspaniale udekorowany okręt (*la nave del Menechino*), na którym obaj bracia odpłynąć mieli do ojczyzny. Wszystko to świadczy o niebywałej żywotności tej komedji antycznej w wieku XV i XVI; atoli jeszcze silniej świadczy o niej okoliczność następująca: lud włoski nie zapomniał o swym „Menechino”, tylekroć widzianym na scenie w ulubionej *commedia del Menechino*, jak ją nazywano; żyje on po dzień dzisiejszy pod tem samem imieniem w ludowej komedji medjolańskiej, gdzie *Meneghino* (wymowa medjolańska, zamiast *Menechino*) gra taką samo rolę, jak *Arlechino* w Wenecji, *Pulcinella* w Neapolu i t. d. A nawet jeszcze wydatniejszą: *Meneghino* stał się prosto symbolem chłopca medjolańskiego. Tak zowie się narzecze medjolańskie w odróżnieniu od powszechno-włoskiej mowy ukształconej, obyczaj medjolański w jego osobliwości lokalnej, słowem, to wszystko, co jest medjolańskie, co jest lombardzkie, jako takie. Sądzę, że duch Plauta, także chłopca, uradowałby się wielce, gdyby mógł być przewidzieć tę nieśmiertelność swego tworu, wszak na tem polegało życia jego zadanie, aby grecki teatr komiczny zrobić zrozumiałym i dostępnym ludowi w jego warstwach najszerszych. I w tem, godzi się zauważyć, uwydatnił się demokratyzm odrodzenia: mimo dworski przepych przedstawień, komedja Plauta utarowała sobie drogę do ludu i tam, na gruncie ludowym puszczała takie latorośle, o jakich nie marzyło się książętom i hrabiom.

Jakkolwiek jednak ciekawe są dla nas te przedstawienia dworskie — o wiele płodniejsze w skutku były widowiska szkół humanistycznych, skromne i niewymyślne, jeśli chodzi o stronę dekoracyjną. Widowiska te były płodniejsze już dzięki temu, że bardziej były upowszechnione: nie wszędzie bywali bogaci i wspaniali mecenasowie w rodzaju Medyceuszów florenckich, Borgiów rzymskich, Estów ferrarskich lub Gonzagów mantuańskich; szkolne atoli przedstawienia można było urządzać wszędzie, gdzie tylko istniały szkoły humanistyczne, te zaś ostatnie już w wieku XV ukazują się na północnej stronie Alp, w wieku XVI zaś opanowały już całą Europę cywilizowaną — włącznie z Anglią. Pamiętać należy, że przedstawienia szkolne sztuk klasycznych bywały uroczystością nietylko ściśle szkolną: groma-

dziły one całą inteligencję miasta, w którym je urządzano. Powszechność języka łacińskiego umożliwiała inteligencji tej śledzenie węzłów perypetji odgrywanej komedji; z drugiej strony, przedstawienie bywało czemś w rodzaju egzaminu publicznego, świadcząc o owocności szkoły, będącej chlubą i ozdobą miasta.

Ów teatr szkolny, wraz z lekturą oryginałów antycznych (Seneki dla tragedji, Plauta i Terencjusza dla komedji) stał się jednym z dwu korzeni klasycznego dramatu angielskiego wieku XVI; korzeniem drugim były rodzime angielskie „moralitety”, przez średniowieczne nowym wiekiem przekazane. Z moralitetów dramat angielski wziął urozmaicony kalejdoskop sceny wraz ze zmieniającem się co chwila miejscem działania, mnogość osób działających, w ich zaś liczbie nieunikniona postać trefnisia — wesołka, wreszcie — pstrokaczną beładnej fabuły; z dramatu klasycznego, poza pewnymi szczegółami technicznymi, jednolitość oraz konsekwentność charakterów, tudzież skończoną budowę fabuły. Przez czas pewien naśladowcy obu kierunków pisali niezależnie od siebie; pierwszą próbę zewnętrznego ich skojarzenia podjął Kid w swej „tragedji hiszpańskiej”; atoli pierwsze spojenie wewnętrzne i istotne spotykamy dopiero w twórczości poetyckiej założyciela angielskiego dramatu klasycznego Marlowa, rówieśnika, ale zarazem poprzednika i wzoru Szekspira.

Tak, Szekspira; zapewnił on komedji naszej nowy trjumpf, po trjumpfach, jakie zawdzięczała ona Odrodzeniu włoskiemu. Najznakomitszą przeróbką komedji Plautowej w Europie nowożytnej jest „Komedja omyłek” wielkiego dramatopisarza angielskiego. W czasach obecnych, rzecz jasna, nie cieszy się ona rozgłosem szczególnie szerokim; nie wymienia się jej obok Hamleta, Makbeta, króla Leara; wszelako, jest to najwcześniejsze dzieło swego twórcy: w niej zastosował on te sposoby i zdobycze techniki dramatopisarskiej, których nauczył się na wzorach antycznych. Na tem polegał nowy zaszczyt, jaki w udziale przypadł komedji „Bliźnięt” w czasach nowszych: należy nazwać ją mistrzynią największego genjusza wśród dramaturgów Europy nowożytnej.

PAUL VERLAINE.

Z CYKLU „ROMANCES SANS PAROLES”

V

*Klawisze pod miękkim całunkiem twych dłoni
Z lekka świecą bielą w różowym zachodzie.
Z cichym szumem skrzydeł, który w uszach dzwoni,
Krąży nastrój dawny o cudnej urodzie,
Krąży bojaźliwie, jak cień po ogrodzie
Po salonie, pełnym jeszcze twojej woni.*

*Miękka kofysanka o mój słuch potrąca
I me biedne serce cichuteńko pieści.
Czegóż chce odemnie słodka pieśń błędząca,
Pieśń niepewna, chwiejna i zamierająca
U okien, za którymi lekki wiatr szeleści
I w więdnące liście, niby w struny trąca?*

Tłomacz. STANISŁAW CZOSNOWSKI.

Szkice literackie.

O wierszach niedorzecznych i kluczach poezji.

(Na temat książek: Zygmunta Karskiego: *Musujący Poranek*, T-wo wyd. „Ignis”, Warszawa 1922, i I. K. Hłakowiczówny: *Śmierć Feniksa*, T-wo wyd. „Ignis”, Warszawa 1922).

Owo pióro zbyt wprawne—pióro bez zarzutu—posiada I. K. Hłakowiczówna. Wydana świeżo „Śmierć Feniksa”, stoi pod względem piękności słowa znacznie wyżej od dawnych „Ikarowych lotów” i „Trzech strun”, tak wysoko nawet, że prawdziwą i niezmaconą rozkoszą jest czytanie „Śmierci Feniksa”—poraz pierwszy. Co za wdzięk pomysłów, (Cykl „Lew”) co za bogactwo i trafność obrazowania („Śmierć Feniksa”, Jaskółka”), jaka łatwość i pomysłowość wypowiedziania przeżyć, (Cykl „Oddechy”), jaki rytm swobodny, polotny, przelewny, roziskrzony... Wiersz gra! Są nawet chwile, kiedy melodia spływa falą tak lekką i bogatą, jak—darujcie bluźnierstwo—miękość, płynność i polotność strof Słowackiego.

Nie kładź na stole łapy, kiedy piszę,¹⁾
nie rycz o świecie, kiedy leżę we śnie;
ten szum, co drzewa za oknem kołysze,
jest niczem; z martwych dla nas nie nie wskreśnię
i nie nie przyjdzie do nas, ku nam w gości
z tego, co mogło być... stamtąd, z przeszłości.

Mnie pieśnią bije krew, ty mruyczysz prozą
o piaskach, piaskach, wolnej karawanie
o ciężkich słońiach, co łup wielki wiozą
o palmach, które Samum na kolanie
zgina, by złamać, lub z nich łuk napina,
by słonecznego ubić muezzina.

Muezzin biały... W smukłym minarecie
Są czarne wnęki, skąd jaskółek roje
muezzin biały rozsyła po świecie;
tam znikło zwinne, chybkie szczęście moje,
znikło jak tamte—lecz już nie wybieży...
Ach, nie rusz, nie rusz lwie... niech cicho leży...

Hłakowiczówna w wysokim stopniu posiada zdolność, której tak bardzo brakuje p. Karskiemu: zdolność operowania niedorzecznością, jako jednym ze środków poetyckich.

Łączenie barw i dźwięków w obrazy i melodie, niezależnie od tego, czy słowa użyte spaja ziemską więź logiczna i pokrewieństwo w świecie przedmiotów materialnych—jest wyłącznym i bardzo cennym przywilejem sztuki. Ale opanować królestwo nonsensu może tylko mistrz logiki swoistej, logiki poezji. Da on wspólną barwę i ton pozornie przypadkowym słowom; da melodię, zapach i ów jedyny, nieuchwytny żywy czar, który nazwać możemy nieudolnie „talentem”, a potem już tylko słuchać pokornie, nie siląc się na analizę chemiczną. Zależnie od skali przeżycia poety, usłyszymy wtedy arcydzieło—lub cacko. Arcydziełem nazwać można bez wahania wspomniany wyżej „Statek pijany” Rimbaud.²⁾

¹⁾ „Lew przeszkadza” (str. 15).

²⁾ Nie cytuję z powodu zbyt długiej wiersza i zresztą jego ogólnej popularności.

A oto cacko—„Chwila ciszy”, Hłakowiczówny.

„Włos każdy brzęczy jak struna dotknięta
włos jasny, cienki...
Kręcą się, kręcą, jak młode dziewczęta
białe wisienki
Włos każdy śpiewa, pod ręką jak pszczoła
w wielkim kielichu...
Weszły tańczące konwalje do koła,
nuca po cichu.
Grają i brzęczą—długi włos w warkoczu,
drobny—u skroni
Bez utkwil we mnie sto tysięcy oczu
i także dzwoni”.

Czyta się całą książeczkę odrazu i rozkoszuje brakiem zgrzytów. Och, nareszcie bez „peanów”, „perci”, „rozkosznych trzewi”, „trupów z kawiolem”, „niebiosów na półmisku” i tym podobnych modnych na ulicy utensyli. Tu wiersze wiedzą, co mówią, i mówią to, co chcą. Przeżycia są pełne, rumiane od prawdy i padają na wyciągnięte dłonie lekko, jak dojrzałe jabłko.

Kiedy czytamy po raz pierwszy...

Ale oto, przyzwyczajeni do przyjacielskiego obcowania z książkami, do których mamy sympatję, wracamy do „Śmierci Feniksa” po raz drugi. „Taak—ładne... Po raz trzeci. „No, o cóż chodzi, niewątpliwie ładnie napisane... Po raz czwarty—i ostatni—już niechętnie. „Nie, czegoś tu brak”. Po raz piąty nie wrócimy wcale.—„To nie Zawistowska, którą czytać można codziennie...”—przemknie nagle i niespodziewanie przez myśl.

Kto zainteresuje się tem przejściem własnym od zachwyty do znużenia i czczości—ten po niedługiej analizie zrozumie potrafi to, co odczuł instynktownie.

Jeden z poetów grupy „Skamandra”, p. Jarosław Iwaszkiewicz, mówiąc w wierszu „Zima”: „Hłakowiczówna konkretność każdej rzeczy słowem białem pieści”—dodaje dalej (na inny już zresztą temat). „I to jest tajemnica, ale nie ta główna”. Oto mimowolne, lecz najtrafniejsze scharakteryzowanie „Śmierci Feniksa”. Jest istotnie w wierszach tych wdzięk—ale niema „tajemnicy głównej”.

Dwa są bowiem klucze poezji—do serca ludzkiego: czar marzenia i czar wspomnienia. Hłakowiczówna zlekka dotyka ich obu—ale niema siły przekreślić. Nie stwarza potęgą ducha ogrodu marzenia, gdzie upoiłby nas mogła kwiatem zuchwałej nieprawdy; nie prowadzi do kraju wspomnień, gdzie uwięzić dalibyśmy się bez oporu. (Jakże czarownie, jak wszechwładnie czyni to Zawistowska!) Nie. Hłakowiczówna skarży się tylko na rzeczywistość. Oto żywy człowiek, pozbawiony bujności i prawdy życia, zamknięty w więzieniu pospolitości i nudy. Oto człowiek wyrwany zieleni pól i lasów, wtłoczony w martwe mury, w szarość, zaduch i tumult miasta. Oto lata młodości mijające bez szczęścia. Tak. Rozumiemy. Ale jedyny ton, w jakim mówi do nas poetka—to znużenie słabe, chore i szare, jak deszcz za szybami nienawistnych

okien. Po kartach nie snują się czarne cienie olbrzymich zmagających człowieka z losem.

To już nie dawne potężne choć stokroć mniej kunsztowne:

„...oczy i słuch wyteżam,
codzień zrywam się, padam, zwyciężam,
codzień korzę się, walczę i rosnę *)

Niema już walki—jest tylko znużenie. Niema buntu—jest tylko skarga. Lecz gozyc jej pozbawiona jest wszelkiego tragizmu. Z nędznej, natłoczonej izby nie wybiega dumnym marzeniem ku gwiazdom, nie wali potężną pięścią zbuntowanej krzywdy w niebios wrota zawarte—lecz dosięgalne. Ach, nie—modli się o pokój osobny. Na nic więcej nie starcza sił.

I nawet nie mamy o to żalu do Hłakowiczówny. Jest szczerą. Nie pozuje. Nie bredzi o gwiazdach, jak p. Karski. Mówi prawdę. Ale, cóż począć, nie usidla nas, nie zaczarowuje, nie przenosi na skrzydłach potężnych w świat uroku, nie otwiera serc parą magicznych kluczy. Nie umie już marzyć o rzeczach nieosiągalnych—pragnie jedynie kontrastów rzeczy nieposiadanych.

Nie czujemy potrzeby powrotu do książki. Spłonął Feniks i—wbrew słowom samej poetki—nie zmartwychwstaje na kartach tej książki.

St. Kuszetewska.

*) „Trzy struny” str. 72.

DESZCZ.

Deszcz pada, ciepły, wiosenny,
Zastygła ziemię myje,
Spfukuje śniegów ostatki
I jakieś ślady niczyje.

Ziemia jest twarda i skrzepła,
Pokryta gęstem błotem—
Wiosenny deszcz ją myje,
Nie wiedząc wcale o tem.

Szepce coś sam do siebie,
Po nagich drzewach szeleści,
Czasem gdzieś w rynnach zapluszczce,
Jak krótki szloch niewieści.

Czasem o szyby zadzwoni,
Jakby zanosząc się płaczem,
Czasem się schyli ukośnie,
Jakoby goniąc za czem.

I pada, pada, pada,
Uparty i jednaki,
Zaciera wszystkie ślady,
Spfukuje wszystkie znaki.

A gdy się ziemia zbudzi,
Śmiejąc się, nie wiedzieć, komu,
Nie będzie żadnego śladu
Kofa żadnego domu.

HALINA ZAWADZKA.

ESTERKA.

(DALSZY CIĄG).

Wszystkie prawa autorskie
zastrzega się.

— Ja nie śmiem, ja nie śmiem... Nie chciałem obrazić... — bełkotał trzęsącymi się wargami, przebiegle, po taksatorsku ślizgając się wzrokiem po rosłej postaci imci pana Maćka.

— No więc... Płacę, ile było warte... — przeszył żyda znaczącym wzrokiem pan wojewoda.

Jakoż myśliwi zasiedli do sań, a przyodziawszy się należycie w szuby niedźwiedzie, ruszyli z kopyta.

Karczmarz stał ciągle jeszcze w rozwartych na ścieżaj wrotach, a jedną dłonią skręcając pasma rozwidlonej brody, drugą nasyczał dotknięciem ściskanych srebrników.

— Król i magnat, władza i pieniądz... — rozmyślał, jakby pomiędzy temi alternatywami wybierając.

Niebo wyiskrzyło się od gwiazd, a i miesiąc świecił już ponad śnieżną przestrzenią pól i borów...

Późno w nocy, kiedy karczma już opustoszała, Mordochaj zajrzał do izby córki. Nie spała.

— No, Esterka?..

— Jego chcę mieć, króla! — rzuciła pająjącym głosem.

— To będziesz go miała. Masz tu, to na zadatek — podał jej guz królewski.

Wargami do niego namiętnie przywarła.

— Słuchaj, Esterka, tylko ty pamiętaj, że moja jesteś córka, Mordochajowa...

* * *

Pochłonięty ważnemi sprawami rządów, Kazimierz wnet przepomniał o pięknej żydówce z Opoczna. Pamiętał o niej jednak wojewoda Maciek, a myślał, jakby rychlej mógł ją zobaczyć.

Nie łącno mu jednak było dwór królewski opuszczać, tem więcej, że raz w raz w jakiejś ważnej naradzie musiał brać udział, a i do Wielkopolski z królem się wyprawić zamierzał.

Krew widać miał jednak nie wodę w żyłach, więc cierpiał srodze, jako że mu twarz ona matowa w aureoli włosów czarnych z oczu nie schodziła, a czem więcej się w czasie od spotkania onego oddalał, tem go silniej ku Opocznu ciągnęło. A tu ani gońca pchnąć, ani samemu jechać. Czas łowów już minął i szło ku wiosnie.

Widać jednak, że serce ludzkie umie sobie dróg w potrzebie szukać, bo naraz imci panu Maćkowi podsunęło myśl tak oczywistą, a tak skromną, że aż się w łeb z szczęśliwości palnął.

— Kiep jestem, zem prędzej takiej inwencji z mózgu nie wyłupił! Wždyć Opoczno leży na drodze do Bochoćnicy, którą to mi miłościwy pan na własność oddać raczył. Dwornie też będzie, z daru onego skorzystawszy, do włości bochoćnickich się udać, a przy tej sposobności inszą pieczęć na różnie obsadzić.

Jako pomyślił, tako i uczynił. W kilka dni potem wybrał się z dworem swoim.

W Opocznie przenocował, w Esterki oczy zajrzał, uśmiechy jej słodkie jak małmazja pragnąciami oczyma spijał i plan swój Mordochajowi przedłożył.

— Dasz mi ją — mówił do karczmarza — to cię za pejsy z nędzy wyciągnę. A dla niej gniazdo złote uwiję, że i królowej nie byłoby lepiej.

Żyd głową kiwał, warkocze na brodzie skręcał i rozkręcał, wreszcie rzekł:

— Ja jeszcze pomyślę.

I o króla pytał.

— Król, jak król, zajęty sprawami, a i żeni się.

— Żeni się? — wycedził z podziwem żyd i wzrok opuścił.

— No, więc gadaj! — nastawał wojewoda.

— Ja jeszcze pomyślę. Esterka ma czas...

— Głupi jesteś, ale ja go nie mam. Dwie niedziele dając czasu do namysłu. Z odpowiedzią przyjdź do Bochoćnicy.

I odjechał zły, jeszcze silniej urodą żydówki oczarowany.

W Bochoćnicy grunta kmieciom porozdawał za bezcen i czas sobie oglądaniem okolicy skracał.

Termin odpowiedzi się zbliżał, a król o Esterkę dotąd nie zapytał nawet.

Mordochaj jeszcze się wahał, jeszcze przemyślał i sprawę odwlekał. Już drugi raz Imci pan Maciek pchnął gońca do Opoczna, a żyd odpowiedzi stanowczej dać nie umiał.

— No, Esterka? — pytał córkę.

— Króla chcę.

— Będiesz go miała. Ale na teraz jest drugi i przezeń znajdziesz drogę do króla. Pojedziesz do Bochoćnicy.

Esterka szeroko rozwarła oczy.

— Nie udał ci się wojewoda?

— Króla chcę.

— Aby przejść na drugą stronę wody trzeba nogi zamoczyć, albo sięść do czółna... Milczała.

A pan Maciek nalegał. Gońców wysłał już po raz trzeci, tym razem żądając odpowiedzi stanowczej.

Godziny mijały...

Chodził niecierpliwie po wielkiej komnacie zamku gnębiony rojem rozbieganych i natarczywych pomysłów. To ku oddrzwiom dębowym, w żelazo okutym się zbliżał, szmerów nasłuchując; to znów rozognionym wzrokiem przez małe, w ołów oprawione szybki na zaśnieżony jeszcze świat poglądał.

Ciemno już było dobrze, a gdzieś z za wierzchołków okalających zamek borów wypływała na firmament miedziana tarcza miesiąca.

Pan Maciek czekał...

Dzień minął jeden i drugi, a żadnych wiadomości nie miał. Już sam chciał wyruszyć na czele zaprawionych do napaści hajduków, ale wstrzymał się jeszcze. Nie

to mu było w Wielkopolsce kupca jakiegoś złupić, albo z nienawistnym sąsiadem w otwartem polu się zmierzyć, lub nawet królowi samemu na dworze swoim się przeciwzić. Aleć insza była tu sprawa... Nie ważył się w tym kraju dziewczkę porwać i w darowanej sobie przez króla Bochoćnicy osadzić. A choćby ją z sobą do Wielkopolski wziąć zamierzył, toż serca niewieściego w ten sposób nie pozyskałby, a kto wie nawet, czy nie odtrąciłby go od siebie na zawsze.

A wtedy?...

Maćkowi przypominał się wzrok Esterki, którym owego wieczoru obdarzyła w karczynie tylko króla. Podrywało go wspomnienie samo i pięść chwyciła kurczowo bandolet. Patrzyła przecież i nań potem wzrokiem zgoła inszym, bo gorącym, niby z uczuć serca zrodzonym... A jednak tamten czci i hołdu pełen, a jakiś wyzywający nie dawał mu pokoju. Esterka zawsze mogła znaleźć w Kazimierzu opiekuna, obrońcę sprawy żydowskiej i mściciela krzywd wyrządzonych jej współwyznawcom. Niechby tylko zechciała rozpuścić te słodkie sieci spojrzeń swoich...

Świadomość zależności onej piekła go żarem upokorzonej dumy. Nie nawykł był u siebie w Wielkopolsce ulegać woli czyjejś... Czynił, jak chciał.

Długie minęły godziny oczekiwania, aż wreszcie wrócili wystawnicy... sami.

— Esterka?! — wrzasnął imci pan Maciek.

— Karczmarz przyprowadzi ją sam na zajutrz. Nie chcieliśmy porwać, jakoś waszmość przykazał — rozwiódł rękoma przywódca poselstwa.

Wojewoda przymarł w srogiej lutości. Nic mu już nie było na świecie miłe, ni święte i poszanowania godne. Pewien był, że żyd, zwlekając, chce go w pole wyprrowadzić — dziewczkę zaś komu innemu przyobiegał.

Ale zmógł się i postanowił dni jeszcze parę poczekać, a następnie całą siłą ruszyć, Esterkę wczas porwać i z sobą, niby brankę do Wielkopolski uprowadzić; a choćby i dalej, nie oglądając się już ani na darowaną Bochoćnicę, ani na włości swe pod Poznaniem.

Jakoż czekał. Aliści żyd się zjawił. Esterki jednak nie przyprowadził. Pan Maciek uśmiechnął się złowroźnie i w myśli już stryczek dla karczmarza gotował.

— Więc nie masz córki?

— Ona może być — kiwnął żyd głową, głaszcząc długie strączki swej brody.

— No to dawaj!

— Zaraz... Niech jasny pan poczeka. Esterka pana wojewodę kocha, ja wiem o tem... To już ona niczyja nie może być... Ale... Esterka ma ojca, rodzinę, ona ma cały naród żydowski.

(D. c. n.).

Mieczysław Jarostawski.

Z czasopism polskich.

Książka i przewodnik Bibliograficzny.
Wyszedł № 3-ci.

Witamy z żywą radością perjodyczne wznowienie cennego miesięcznika „Książka”, red. przez M. Muszkowskiego i M. Rulikowskiego, wspieranego przez najlepsze pióra polskie a poświęconego poważnej i fachowej krytyce wydawnictw bieżących. Książka z powodu trudności czasu wojennego nie ukazywała się od r. 1915. A że istniała od r. 1901, rozpoczyna więc teraz 14-ty rok pracy. Równolegle wznowiony został Przewodnik Bibliograficzny, wychodzący jako dodatek do Książki i zajmujący się rejestracją druków wydanych na obszarze Rzeczypospolitej w języku polskim i w językach obcych, oraz dzieł Polaków i o Polsce wydanych zagranicą.

Oba pisma są niezbędnym informatorem dla każdego inteligenta polskiego, chcącego orientować się w ruchu piśmienniczym.

№ 3 Książki, pośród trzydziestu kilku poważnych recenzji i wzmianek z dziedziny bibliografii, religii, psychologii, estetyki, historii, krajoznawstwa, teorii literatury, nauk społecznych, pedagogiki, medycyny i wojskowości zawiera również krótkie charakterystyki i oceny najnowszych utworów beletrystycznych i poetyckich.

Ten ostatni zwłaszcza dział polecamy czytelnikom naszym, gdyż wobec tak bardzo rozpowszechnionej obecnie tandety powieściowej i wierszowej „Książka” dopomódz może w wyrobieniu sobie należytego sądu i w zdobyciu prawdziwej *umiejętności czytania*.

Przegląd Warszawski.

Wyszedł № 6-ty. Redaktor W. Borowy.

Najpoważniejszy miesięcznik poświęcony kulturze Polski, jej pracom państwowym, społecznym, a przede wszystkim ruchowi artystycznemu wogóle, ściśle, a literackiemu w szczególności. Dział studjów krytycznych o nowych wydawnictwach postawiony pierwszorzędnie, a nade wszystko prowadzony z wytworną powagą i rzeczowym spokojem.

Ostatni numer zamieszcza: p. K. Irzykowskiego: Na Giewoncie formizmu. P. Janusza Iwaszkiewicza: Smutna karta z historii czasów Paskiewiczowskich p. Stanisława Pigonia: Pierwszy pomysł „Pana Tadeusza.” p. Witolda Klingera: Rodowód Kalibana. Poezje p. I. Jędrkiewicza oraz ciąg dalszy romansu Rittnera: Drzwi zamknięte.

Bogata kronika literacka i bibliografja.

Południe. № 2-gi. (Czasopismo poświęcone sztuce plastycznej, wychodzi w Wilnie. Red. St. Woźnicki. (№ 17. wyszedł we wrześniu R. Z.)

Bardzo kulturalna, zajmująca i obecnie jedyna w Polsce próba poważnego i wszechstronnego zajęcia się teorią malarstwa, rzeźby i teatru. Strona wydawnicza i graficzna prawdziwie piękna. Winszujemy. Czekamy. *Skamander*, miesięcznik poetycki. Wyszedł zeszyt XVIII. red. p. Grycendler-Grydzewski.

Znaczne obniżenie poziomu w stosunku do dawnych zeszytów. Słonimski pisywał już rzeczy stokrój wartościowsze. P. Ryta („Wniebowstąpienie”) chwytając niekiedy fragmenty piękna, potrafi jednak dać całość wręcz nieznośną.

(Wogóle trudno nie zaznaczyć, że kilka ostatnich zeszytów uderza zbyt silnie w ton autoreklamny, zgoła zaślepionej pewności siebie i nieco natarczywie uprawianych wzajemnych cytatach, dedykacji i t. p.)

W № XVIII-tym, interesujący i poważny, jak zawsze artykuł p. Horzycy o teatrze i ciekawie napisany feljeton p. Stryjeńskiej o polskim malarstwie współczesnym.

Droga, dwutygodnik poświęcony sprawie życia polskiego. Wyszły 4 numery. Redaktor p. Guliński.

Każdy programowy artykuł, zamieszczony w „Drodze” posiada głęboką wartość duchową (J. Jędrzejewicz: O nowego „człowieka” № 2.) ustosunkowuje się bowiem uczciwie do poruszanych i istotnie ciekawych zagadnień. Ton poważny, spokojny, niekiedy gorący — nigdy nie krzykliwy. Całość jednak nieco zbyt jednotonna, i — że tak powiem — abstrakcyjnie mówiąca o ziemskości, zachwalająca życie niezwykłym piórem, budząca tętno słowami bez pulsu.

Przyznać jednak należy, że ostatni numer jest znacznie ciekawszy i bardziej realny. Drukuje artykuły p. p. Swarzeńskiego, Uzdowskiego, Budzyńskiego. Zamieszcza Przegląd kulturalny i literacki oraz kronikę poetyczną i b. ciekawy przegląd pracy społecznej.

Z książek.

Książki nadesłane do redakcji.

Asanka — Japoł Michał — Gdzież nasze słońce — Poezje — nakładem księgarni J. Czerneckiego w Krakowie str. 80.

Brzeźkowski Jerzy — Stepy i Chodniki — Poezje, str. 72. — nakładem „Sonaty” — skład główny w księgarni M. Arcta w Warszawie.

Czekańska-Heymanowa Róża — We mgle i słońcu — Poezje, str. 68. skład główny w redakcji „Ponowy” Niecała 14 w Warszawie.

Dębicki Zdzisław — Za Atlantykiem — Wrażenia z pobytu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, — str. 244. — nakład Gebethnera i Wolffa.

I. Legenda o Ameryce. II. Naród amerykański. III. Ameryka kolorowa. IV. Amerykanizacja Europy i europeizacja Ameryki. V. Materjalizm amerykański a idealizm europejski. VI. Homo homin. VII. Rozrzutność amerykańska. VIII. Kraj mężczyzn. IX. Amerykanki. X. W drodze do szczęścia. XI. Szkoła pracy. XII. Czas to pieniądz. XIII. Równość amerykańska. XIV. Nieporozumienia. XV. Siła opinii. XVI. Państwo reklamy. XVII. Królestwo samochodu. XVIII. Naród a architektura. XIX. Życie polityczne. XX. Uniwersytety amerykańskie. XXI. Dusze miast amerykańskich. XXII. Polacy w Ameryce.

Freytag Lucjan Marjan — Zmartwychwstanie Chrystusa, z przedmową Józefa Jankowskiego, — str. 317. nakładem księgarni Kuncewicz i Hoffmana. — 1922 r.

Marcinowska Jadwiga — Chrziciel — powieść str. 264. — Skład główny w Instytucie Wydawniczym „Biblioteka Polska” — Warszawa 1922 r.

Rabska Zuzanna — Ręka Fatmy — nowele: 1. Ręka Fatmy. 2. Legunka. 3. Piotr Piguła. 4. Siostra Aniela. 5. Noc romantyczna. 6. Dramat Koci. 7. Z tamtego brzegu. 8. Zemsta książek. 9. Przyjdę... str. 205. Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska”. Warszawa 1921.

Rabska Zuzanna — Trzy powiastki o barcerkach z rysunkami Zofji Plewińskiej-Smidowiczowej. str. 64. — nakładem księgarni Perzyński, Niklewicz i S-ka — Warszawa — Nowy Świat 21. — r. 1922.

Rygier — Nalkowska Zofja — Charaktery — str. 72. Towarzystwo Wydawnicze „Ignis” — Warszawa 1922.

„Rosja Sowiecka pod względem społecznym i gospodarczym”.

(Praca Instytutu Gosp. Społecznego pod redakcją prof. Ludwika Krzywickiego. Tom I, część pierwsza, 230 str. 8-ki. Wydawnictwo Tow. Ignis. Warszawa, kwiecień 1922).

Państwowa gospodarka komunistyczna w Rosji jest eksperymentem na skalę wszechświatową. Eksperyment ten przedstawiony nie w formie złośliwej anegdoty lub propagandowej apoteozy, lecz właśnie w rzeczywistym faktycznym rozwoju i skutkach obchodzie musi każdego, kto chce orientować się w życiu dzisiejszym i sądzić o niem poważnie.

Brakło dotychczas w literaturze naukowej świata całego sumiennej i gruntownej analizy życia gospodarczego Rosji Sowieckiej. Z radością stwierdzić należy, iż znakomity wysiłek ekonomistów polskich pod wytrawnym kierownictwem prof. Ludwika Krzywickiego wypełnia tę lukę.

Część pierwsza tomu pierwszego, która ukazała się w druku, — obejmuje politykę przemysłową, finansową i agrarną rządu sowieckiego. Następna część tomu I-go traktować ma o wymianie wewnętrznej i polityce robotniczej; tom drugi dać ma faktyczny obraz Rosji współczesnej pod względem gospodarczym t. j. jej zaludnienie, stan dróg komunikacyjnych, rolnictwa, górnictwa, przemysłu metalurgicznego i t. d. Tom trzeci wreszcie zawierać będzie wykład o traktatach handlowych i koncesjach oraz dawać syntezę ogólną.

Część pierwsza tomu pierwszego, z której zdajemy sprawozdanie stanowi odrębną, zamkniętą w sobie całość. Poważnie zgłębniony, niezmiernie bogaty materiał faktyczny, ujęty został w wykład jasny, zajmujący, przejrzysty.

Ogólne wrażenie, jakie odnosi czytelnik po przeczytaniu tej książki — jest wstrząsające. Z chłodnych zestawień faktów i cyfr powstaje olbrzymie widmo ruiny, unoszącej się nad Rosją, ruiny podwójnej, gdyż zwały się tam pod tchnieniem fanatycznych

doktryn podstawy bytu i równowagi gospodarczej — a zarazem umarli na jakies gorączkowe delirium same doktryny, w zetknięciu z rzeczywistością.

Na książkę tę zwracamy uwagę każdego, kto chce nie na sympatiach lub antypatiach jedynie budować swój stosunek do komunizmu i komunistów.

Posiada ona przekonywającą aż nadto wymowę bezstronności i cyfr. Nie może jej brakować na stole żadnej działaczki społecznej, w żadnej bibliotece polskiej.

Czekamy z niecierpliwością dalszych tomów.

Konkurs

Związku Teatrów i Chórów Włościańskich we Lwowie.

Związek Teatrów i Chórów Włościańskich we Lwowie, od lat szeregu pracujący dla podniesienia kultury warstw najszerszych, pragnąc gorąco przyczynić się do obudzenia twórczości w zakresie dramatycznej poezji ludowej, ogłasza — dzięki poparciu Władz rządowych — konkurs na utwór dramatyczny, poważny lub wesoly, ewentualnie z muzyką i śpiewami. — Warunki następujące:

Pod względem osnowy pożądanym jest, aby treść utworu zaczerpnięta była z życia włościańskiego, lub małomiejskiego — do czego tłem może być zarówno chwila obecna jak i nasza przeszłość dziejowa. —

Pod względem wątku ideowo utwór winien ujawniać momenty duszy i kultury ludowej przedewszystkiem etycznie — dodatnie, rozwojowe, szczeropolskie, widoczne nawet w postaciach ujemnych. — Idea ma wypowiadać się w działaniu, nie posługując się moralizowaniem ani wprost ani pośrednio stosowanem. — Pierwszeństwo przysługiwać będzie utworom o walorach istotnie dramatycznych, wyrażających się najlepiej nie w czytaniu, lecz w przedstawieniu scenicznem.

Pod względem rozmiaru pożądanym są utwory, mogące wypełnić cały wieczór — jednak nie jest to warunkiem koniecznym. —

Na podstawie Układu z Dyrekcją Miejsk. Teatrów we Lwowie — utwory nagrodzone na konkursie, wystawione będą w najbliższym sezonie teatralnym w jednym z lwowskich teatrów miejskich — oczywiście w porozumieniu i kontakcie z autorami sztuk nagrodzonych.

Rękopisy utworów, tylko czytelne; zaopatrzone godłem powtórzonem na kopertach zamkniętych, zawierających imię, nazwisko i adres autora, należy nadsyłać pod adresem Związku Teatrów i Chórów Włościańskich we Lwowie, ul. Mickiewicza № 26 — w terminie do dn. 31 października 1922.

Nagród naznacza się trzy: Pierwsza sto tysięcy Mk. — druga siedemdziesiąt pięć tysięcy Mk. — trzecia dwadzieścia pięć tysięcy Mk. —

Utwory nie nagrodzone mogą być odznaczone. — Związek zastrzega sobie prawo wydania rzeczy nagrodzonych i odznaczonych (honorarium 15% ceny sprzedażnej).

Sąd konkursowy stanowią: Dr. Juliusz Balicki, Jan Bartosiński art. dram. Henryk Barwiński, Prof. Dr. Wilhelm Bruchnalski, Dyr. teatrów, Ludwik Czarnowski art. dram., Franciszek Frączkowski, Józef Jędrlicz, Edwin Jędrkiewicz, Dr. Eugenjusz Kucharski, Prof. Dr. Juliusz Kleiner, Czesław Krzyżanowski, Irena Mrozowicka, Adam Piątek.

We Lwowie dn. 30 marca 1922 r. Za Związek Teatrów i Chórów Włościańskich.

Sekretarz: Adam Piątek.

Prezes: Prof. Dr. Wilhelm Bruchnalski.

Sprawy kobiece.

Ochrona nocnej pracy kobiet, zatrudnionych w przemyśle.

Przystąpienie Polski do berneńskiej konwencji międzynarodowej z d. 26 września 1906 r.

W wykonaniu art. 19 Traktatu Wersalskiego rząd polski przystąpił w d. 14 stycznia 1921 r. do konwencji międzynarodowej o zakazie pracy nocnej kobiet, zatrudnionych w przemyśle.

Główne punkty konwencji brzmią jak następuje.

W zasadzie jest zabroniona praca nocna kobiet, zatrudnionych w przemyśle. Zakaz pracy nocnej stosuje się do wszystkich zakładów przemysłowych, w których jest zatrudnionych więcej, niż 10 robotników i robot-

nie, zakaz ten nie stosuje się do zakładów, gdzie zatrudnieni są członkowie rodziny.

Wypoczynek nocny kobiet winien trwać conajmniej 11 godzin z rządu. — Zakaz pracy nocnej może być wstrzymany: 1) w wypadkach siły wyższej, gdy w zakładach następuje przerwa w pracy, której nie można było przewidzieć i która nie posiada charakteru perjodycznego. 9) w wypadkach, gdy przerabiane są surowce, o ile praca ta jest niezbędna dla zabezpieczenia tych materiałów od zniszczenia.

Oficjalne ogłoszenie w № 19 Dziennika Ustaw o przystąpieniu Polski do konwencji berneńskiej przyczyni się niewątpliwie do uregulowania u nas kwestji pracy nocnej kobiet i zapobiegnie wszelkim możliwym w tej dziedzinie nadużyciom.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA.

Spór o pensje oficerskie między min. Sosnkowskim a ministrem Michalskim skończył się kompromisem, ku zadowoleniu stron obu.

Na Górnym Śląsku Niemcy skoncentrowali w ostatnim czasie doskonale uzbrojone i wyćwiczone bandy Orgeschu. Liczba ich ma dochodzić do 70.000 ludzi.

Do Padwy na uroczystość sześciusetlecia tamtejszej wszechnicy, która niegdyś wykształciła tylu znakomitych Polaków, wyjechali profesorowie: Alfred Halban (Lwów), Jan Kochanowski (Warszawa) i Kazimierz Kostanecki (Kraków).

Sejm wznowił obrady 25 kwietnia.

Obwiniony o morderstwo Styczyńskiego, niejaki Józef Ponička został w Gliwicach aresztowany.

W sprawie uznania naszych granic wschodnich, będziemy mieli za sobą, jak z obrad Genujskich wynika, prócz pewnych głosów Francji i Rumunii, także zdaje się Japonję, co jest rzeczą ważną. Natomiast stanowisko Lloyd Georgea jest gorzej, niż niewyraźne.

Antypolskie knowania Litwinów i Rusinów w Genui spalają jak dotąd na panewce.

W Krakowie ogłoszono program stronnictwa Prawicy Narodowej. Są to przeważnie dawni krakowscy konserwatyści.

Rozprawa nad budżetem rozpoczęła się 28 kwietnia w Sejmie. Pierwszy wygłosił wielką mowę przedstawiciel P. P. S., pos. Daszyński.

Do walki z drożyzną nadzwyczajnym Komisarzem wyznaczony został p. min. Michalski. Komitet doradczy przy nadzw. Komisarzu składa się z pos. Bobrowskiego (Kraków), p. Schleichera (Lwów), rektora Nowaka (Kraków), p. Kucharskiego, b. ministra dla b. dzielnicy pruskiej i p. Mielczarskiego, prezesa Związku Stowarzyszeń Spożywczych w Warszawie.

Sensacją Zjazdu genujskiego, było śniadanie dla delegatów, wydane przez króla włoskiego na jego okęcie „Dante Alighieri”. Cziczerin zdawał się być bohaterem dnia, przez cały kwadrans rozmawiał nader dworsko z królem, a następnie z arcybiskupem Genui, naprzeciw którego siedział przy stole.

Między Watykanem a Sowietami toczą się układy. Bolszewicy godzą się podobno na przywrócenie w Rosji zakonu Jezuitów i Franciszkanów oraz na równouprawnienie kościoła katolickiego.

Dwie wielkie mowy polityczne wygłosili Poincaré w Bar-le-Duc we Francji 24 z. m. a Lloyd George w Genui wobec zaproszonych dziennikarzy angielskich i amerykańskich d. 26. z. m. Treść i znaczenie obu omówiono w artykule wstępnym.

Rząd Kowieński odrzucił paragraf konstytucji, gwarantujący żydom ministerjum narodowe. Na znak protestu posłowie żydowscy opuścili salę obrad, a minister żydowski dr. Sołowiejczyk podał się do dymisji.

Cziczerin wystosował w Genui także notę do p. Skirmunta, na którą otrzymał odpowiedź. Jak zwykle pretensje bezpodstawne.

Stanowisko Anglii i Francji wobec Rosji dotąd nie zostało uzgodnione.

Barthou, przewodniczący delegacji francuskiej w Genui, wyjechał do Paryża po instrukcje.

Pawel Deschanel, b. prezydent Republiki francuskiej, serdeczny przyjaciel Polski, zmarł w Paryżu w 67 roku życia.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Zofji Zapolskiej — *Rożyszcze*. Przesłane małe

wzorki z chęcią spożytkujemy — honorarium w zwykłych normach prześlemy Sz. Pani po ukazaniu się wzorów w druku. Wzór poduszki zmniejszony być nie może — w naturalnych zaś rozmiarach pomieścić go się zapewne nie da — prawdopodobnie więc użytkowany nie będzie.

Wzory winny być wykonane tuszem i nie kolorowane. Żądane formy zostały wysłane za zaliczeniem pocztowem.

P. F. Ziółkowskiej w *Bełchatowie*. Radzimy zwrócić się do Spółki Akcyjnej „Ryngraf” w Krakowie, gdzie uczą koronek klockowych bezpłatnie z warunkiem wyuczenia innych kilku dziewcząt. Tamże nauka guzików i ozdób choinkowych.

W Warszawie istnieją również Kursy przy Tow. Popierania Przemysłu Ludowego (Tamka 1), może tam będą mogli udzielić Sz. Pani żądanych informacji i rady.

Ziemiance. Za życzliwość dla „Bluszczu” serdecznie dziękujemy. Dowiedzieliśmy się właśnie, że grupa byłych ziemianek, wyrzuconych z gniazd rodzinnych przez bolszewików — zaczęła wyrabiać gotowe ubrania: suknie, bluzki, okrycia i t. d., odznaczające się solidnością wykonania, dobrym gatunkiem materiałów, a jednocześnie niewygórowanymi cenami. Może więc podczas parodniowego pobytu w Warszawie Sz. Pani tam się zwróci. Panie te dotychczas nie mają własnego sklepu — w sprawie zakupów porozumieć się jednak można telefonicznie (№ 161-26) od g. 2—5-ej.

SPROSTOWANIE.

W powieści „Esterka” omyłkowo zamiast „Maciek Borkowicz” wydrukowano wszędzie „Bronowicz”, co niniejszem prostujemy.

TREŚĆ № 19-go.

Matki — przez *Mawrycego Maeterlincka*, przełożył *Gabryel Karcki*. Pokój czy wojna — przez *Irenę Pannenkową*. Opieka społeczna — przez *dr. med. Franciszka Ksawerego Cieszyńskiego*. Uprząż kamedji — przez *prof. dr. Tadeusza Zielińskiego*. Z cyklu „Romances sans paroles” — przez *Paul Verlaine*, przełożył *Stanisław Czosnowski*. Szkice literackie — przez *St. Kuszelewską*. Esterka — przez *Mieczysława Jarosławskiego*. Z czasopism polskich. — Z książek. — Konkurs. — Sprawy kobiece. Z Polski i ze świata. — Odpowiedzi redakcji. — Sprostowanie. — Wzory ubiorów i robót (dodatek Mody). — Dodatek powieściowy p. t. „Rozbitki” — przez *Rabindranath Tagore*, tłumacz. — przez *J. Buchholtzową* (ark. 9-ty).

LACTA i MILKA

NAJLEPSZE, NAJTAŃSZE FIŃSKIE
WIRÓWKI DO MLEKA.

SPRZEDAJE

ZWIĄZEK SP. MLECZARSKICH i JAJCZARSKICH

WARSZAWA, KRAK.-PRZEDM. 6.

Do czytelniczek: Czytelniczki zamiejscowe prosimy przy zamawianiu form bibułkowych i przesyłaniu należności przekazem — o doliczanie do ceny form podanych w „Bluszczu” Mk. 50. na przesyłkę pocztową.

OD WYDAWNICTWA

Prenumerata „Bluszczu”

miesięcznie - - - - - Mk. 600.—
z odnośnieniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 2000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 175.—

Zmiana adresu Mk. 100.—

REDAKCJA: Nowy-Świat 41. ☎ Telefon 105-22.

ADMINISTRACJA: Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2, Koło Polek tel. 239-40.

CENY OGŁOSZEŃ.

Strona	Cała	1/2	1/4	1/8	1/16
Pierwsza .	60.000	35.000	20.000	12.000	6.000
Tekstowa .	70.000	40.000	25.000	15.000	10.000
Ostatnia .	60.000	40.000	18.000	10.000	6.000

Klisyze na koszt klienta.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „Bluszczu”: Tow. Akc. „Reklama Polska”, Warszawa, Jasna 10, Biuro Ogłoszeń T. Pietraszek — Marszałkowska 115, L. i E. Metzl i Sp. — Marszałkowska 130, Biuro Dzienników S. Ungra — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „Nowa Reklama”, Długa 9 i I. Buchweitz — Marszałkowska 120.

Wydawca „KOŁO POLEK”.

Redaktorka: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (Łozińska.)

Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka w Warszawie, Chmielna 61.